

GPS wyświetlił dwa kilometry do celu i nakazał skręt w lewo. Zrobiłem, co kazała maszyna, ale po kilkuset metrach zatrzymałem auto. Dalsza droga była zbyt piaszczysta i musiałem iść piechotą.

Po niedługim czasie dotarłem do jeziora. Przeżyłem nad nim całe dzieciństwo i onegdaj znałem tu każdy zakątek. Szukałem zapamiętanego z tamtych czasów dużego kamienia pod brzoźką. Znalazłem, ale kamień był mały i ledwie wystawał z trawy, a brzoźka stała się olbrzymim drzewem korzeniami sięgającym wody.

Usiadłem na kamieniu, zdjąłem buty, wysypałem z nich piasek i spojrzałem na drugi brzeg. Tam gdzie kiedyś był nasz sad, rosły jakieś krzaki, a z nich wystawał zapadnięty dach domu, w którym się urodziłem. Mógłbym pójść na tamtą stronę wody, ale po co? Żeby zobaczyć ruinę z powybijanymi oknami i pokrzywami na ganku?

Wolałem posiedzieć tu, na moim kamieniu i pod moją brzozą.

Był pierwszy dzień lata – moje urodziny. W trawach grały świerszcze, po wodzie ślizgały się nartniki, a popołudniowe słońce świeciło w oczy – ogarniała mnie senność.

Zza trzcin wychynął perkoz i powoli płynął w moim kierunku. Gdy był niedaleko, zanurkował, zostawiając po sobie kręgi na wodzie. Po chwili w tym samym miejscu wypłynął człowiek, a właściwie wysunął się powoli spod wody, jakby go coś od dołu wypchało. Wynurzył się tylko do pasa i tak pozostał. Był to mężczyzna w nieokreślonym wieku. Jego długie jasne włosy i takież zarost ociekały wodą. Od chwili pojawienia się nie wykonał żadnego ruchu i bardziej przypominał mokrą rzeźbę niż człowieka. Zatrzymało mnie, bo nie wiedziałem skąd się wziął. Teoretycznie mógł przypłynąć pod wodą przez jezioro. Musiałbym go jednak wcześniej zauważyć na przeciwnym brzegu, a tam nie było żywego ducha. Zamarłem na moim kamieniu i patrzyłem na dziwnego przybysza. On patrzył na mnie i tak trwaliśmy dłuższą chwilę w ciszy – on po pas w wodzie, a ja bez butów na brzegu z wybałuszonymi oczami i głupią miną.

Moje zaskoczenie sięgnęło zenitu, gdy pływak powiedział:

– Witaj Marian! Ile to lat temu widziałem cię po raz ostatni? Czterdzieści? Pięćdziesiąt?

Zgłupiałem zupełnie. Nie dosyć, że gość pojawił się znikąd, to jeszcze wyglądało na to, że mnie znał. Nie umiałem wydusić z siebie ani słowa.

– Nie wierzysz, że już cię widziałem? – ciągnął niezwykle przybysz. – Widziałem i to nie raz. Przecież urodziłeś się i mieszkałeś tu wiele lat. Żeby cię przekonać, opowiem ci coś z twojego dzieciństwa: Któregoś dnia przyszedłeś tu z jakimś chłopcem. Łowiliście ryby. On ciągnął płótkę za płótką, a twój spławik nawet nie drgnął. Potem miałeś tylko jedno branie i złowiłeś tak dużego leszcza, że ledwo go wyciągnąłeś. Przebiłeś nim wszystkie płotki kolegi. Było tak?

– No, było – odpowiedziałem odruchowo.

Tym „jakimś chłopcem” był mój zmarły już kuzyn, a nurek opowiadał o naszym wędkowaniu, jakby wtedy tam był. Dotarło do mnie, że działo się coś nienormalnego. Czy to co widziałem było prawdziwe, czy też z moją głową było coś nie tak? Tak czy inaczej było niedobrze i ogarnął mnie strach.

Przybysz wyraźnie nie miał złych zamiarów i wrócił do rozmowy.

– Teraz mi wierzysz? – zapytał.

Miał łagodny głos. Mówił spokojnie i to spowodowało, że mój strach odpłynął, a jego miejsce zajęła ciekawość.

– Wierzę – odpowiedziałem. – Ale kto ty właściwie jesteś?

– Jestem wodnikiem, utopcem, czy jak się komu podoba. Jestem opiekunem tego jeziora. Za moją wie-

dzą rodzą się i umierają ryby, kwitną i usychają nenufary. Wszystko tu zależy ode mnie.

– Wszystko? To każ teraz jakiejś rybie wskoczyć na brzeg.

– Po co? – obruszył się wodnik. – Żeby ciebie zadowolić? A kimże ty jesteś, żebym miał poświęcać dla twojego widzimisie życie ryby?

– Chciałem, żebyś w ten sposób udowodnił mi, że masz władzę nad jeziorem.

– Nie muszę tego udowadniać. Ja ją po prostu mam. Tysiące ludzi kręciło się od wieków przy tej wodzie. Z niektórymi rozmawiałem jak z tobą, ale żaden nie palnął takiego głupstwa jak ty.

– Od wieków? To jak długo ty żyjesz? – spróbowałem zmienić temat niemiłej dla mnie rozmowy.

Udało się i wodnik odpowiedział:

– Tyle, ile żyje jezioro. Jest jezioro, jestem i ja.

– A jak jeziora nie będzie?

– Będzie zawsze.

– Jezioro może wyschnąć, zarosnąć, lub ludzie je zasypią. Co wtedy będzie z tobą? – zebrało mi się na filozofowanie.

– Dopóki tu będzie choćby kropla wody, będę i ja.

Byłem już zupełnie spokojny. Zrozumiałem, że dyskusja z wodnikiem o wieczności jeziora jest równie bezsensowna, jak zaprzeczanie wierzącemu istnienia jego boga. Zacząłem więc z innej beczki.

– Ludowe podania mówią, że utopce wciągają ludzi do wody lub w bagno.

– Nieprawda. Nigdzie nikogo nie wciągamy. Zdarza się jednak, że ludzie ze strachu toną.

– Tak sami z siebie?

– Tak. Ty zobaczyłeś mnie w dzień, ale co byś zrobił, gdybym ci się pokazał w nocy lub podczas jakiejś zawieruchy? Uciekałbyś pewnie ze strachu na złamanie karku. Gdyby tu było jakieś bagno, to byś w nim utonął. Albo serce by ci stanęło, wpadłbyś do wody i byłoby po tobie. Ot i cała prawda o wciąganiu przez nas ludzi w topiel.

– A właściwie dlaczego mi się pokazałeś? – zapytałem.

– Bo dzisiaj nadszedł twój czas.

Zmroziło mnie, bo „nadszedł twój czas” zabrzmiało jak wyrok śmierci.

– Wodnika może zobaczyć człowiek urodzony nad danym jeziorem, tylko w dniu swoich urodzin, przy nowiu i musi być sam – wyjaśnił mój rozmówca. – Dziś są twoje urodziny, księżyc jest w nowiu i dlatego mnie widzisz. Masz szczęście, bo nie jest łatwo spełnić te wszystkie warunki. Dlatego też widziało nas niewielu. Masz wielkie szczęście.

Dalsza rozmowa jakoś się nie kleiła i zapanowała niezręczna cisza. Przerwał ją utopiec, mówiąc:

– Milczysz, więc cię już pożegnam. Mogłeś dowiedzieć się wiele o jeziorze i o tym, co dzieło się nad jego brzegami przez tysiące lat, ale nie chciałeś tego. Wolałeś pytać o głupie przesady i żądałeś, żebym kazał rybie skakać. Straciłeś wielką szansę. Chyba nawet jedyną, bo podobny dzień będzie dopiero za dziesiętnaście lat. Czy będziesz tu wtedy? Wątpię. Nie wiadomo, czy tego dożyjesz, boś już niemłody. Ale cóż, jesteś tylko człowiekiem, a ludzie umieją rozmawiać tylko między sobą – i to rzadko. Żegnaj –

zakończył wodnik i powolutku zanurzył się.

Po chwili w tym samym miejscu ukazał się perkoz i odpłynął w stronę sitowia.

– Żegnaj! – zawołałem za ptakiem.

Zostałem sam. Zachodzące słońce jeszcze mocniej świeciło mi w oczy, a ja siedziałem jakby w półśnie na moim kamieniu pod moją brzozą.

Z tego stanu wyrwał mnie dzwonek telefonu. Dzwonił mój brat.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Już blisko. Zatrzymałem się na chwilę przy naszym starym domu.

– Po co? Przecież tam już nic nie ma.

– Chciałem tylko popatrzeć na jezioro i zaraz ruszam.

– Pośpiesz się, bo my tu czekamy z grillem. Przecież dzisiaj są twoje urodziny.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 13.01.2020 21:04

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.